



JAN PRATKOWSKI

Warszawa, 6 listopada 1946 r. Sędzia śledczy Halina Wereńko, delegowana do Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich, przesłuchiwała w charakterze świadka niżej wymienionego, który po uprzedzeniu o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań zeznał, co następuje:

Imię i nazwisko	Jan Pratkowski
Imiona rodziców	Henryk i Klementyna z d. Studzińska
Data urodzenia	16 maja 1913 r., Kapuściany, pow. Jampol
Zajęcie	referendarz w Ministerstwie Skarbu
Wykształcenie	magister prawa
Miejsce zamieszkania	Warszawa, ul. Elsterska 12 m. 5
Wyznanie	rzymskokatolickie

Zostałem aresztowany przez gestapo 9 maja 1943 roku we Lwowie, pod zarzutem przynależności do organizacji niepodległościowej. Po dwudniowym przesłuchiwaniu połączonym z przyjętą przez gestapo metodą bicia pałką gumową i pięściami zostałem osadzony w celi nr 20, pojedynczej, ściśle izolowanej, w więzieniu *Sicherheitspolizei* przy ul. Łąckiego we Lwowie. Po półtoramiesięcznym pobycie w celi pojedynczej zostałem przeniesiony do celi ogólnej, *Krankenzelle*, ze względu na zły stan mego zdrowia.

Więzienie przy ul. Łąckiego było jednym z cięższych z uwagi na bardzo złe odżywianie oraz niebywałe przeludnienie. W celi przewidzianej na pięć do sześciu osób stale było umieszczanych około 50 więźniów, stąd nie było dla wszystkich miejsca do leżenia i noc musieliśmy spędzać, stojąc na zmianę. Postrachem więzienia był SS-man psychopata Alfons Martens, który znęcał się nad więźniami, bił ich, osobiście wykonywał wyroki śmierci, tak w publicznych egzekucjach, jak i w piwnicach więzienia.



26 lutego 1944 roku w transporcie liczącym 86 więźniów zostałem wywieziony do obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen. Po podróży trwającej przeszło dwie doby, w przeładowanym krytym wagonie, pilnowani stale przez uzbrojonych SS-manów, którzy zajmowali środek wagonu na szerokość drzwi, rankiem 29 lutego przyjechaliśmy na dworzec kolejowy Gross-Rosen. Wypędzeni z wagonu, uformowani w piątki, pod przewodnictwem SS-mana Drozdowskiego odbyliśmy pieszo drogę do obozu położonego w odległości około sześciu kilometrów od dworca. Przed bramą obozu grupa nasza zatrzymała się. Z budynku obok stojącego wypadli dwaj SS-mani oraz starsi obozowi Ebner i Kaizer i zaczęli okładać nas trzymanymi w ręku pejciami. Od tej chwili zaczęło się tzw. przyjęcie *zugangów*, tj. nowo przybyłych więźniów, połączone bez przerwy z biciem, kopaniem i „sportem”. Sportem w gwarze obozowej określało się ćwiczenia specjalnie męczące, jak *padnij*, *powstań*, *żabka*, *rollen* – toczenie się, *koziółki*, przysiady z cegłami lub taboretami w rękach. Po kąpieli i zabranii nam posiadanych rzeczy wszystkich więźniów ostrzyżono, ogolono na całym ciele, przy czym tępe brzytwy oraz brutalność fryzjerów były specjalnie przykre. Fryzjer imieniem Bolek, nr 111, zbił po twarzy towarzysza mego śp. Łaniewskiego za to, że miał długą brodę. Fryzjer uważał go za Żyda. Następnie przebrano nas w łachy obozowe: bardzo zniszczone cywilne ubrania, z czerwonym krzyżem na plecach i takimiż paskami na rękawach i spodniach, zaopatrzeni w blaszki z wybitym numerem więźnia oraz drewniane trepy, bici przy tym i kopani przez SS-manów Drozdowskiego i Hanke, a także przez starych więźniów funkcyjnych z łaźni, przeszliśmy na blok 9. Tu rozpoczęło się prawie dwudniowe „pouczanie” nowo przybyłych „o regulaminie obozowym”. Przez cały czas, z niewielkimi przerwami, robiliśmy sport, przy czym ówczesny sztubowy – jeden z jeńców rosyjskich, który nie został zlikwidowany, lecz przeciwnie, awansował na funkcję i katował więźniów, znany tylko z imienia Iwan – trzymanym stale w ręku styliskiem od kilofa wymierzał celne razy specjalnie zmęczonym i słabym więźniom. Już pierwszego dnia zmarł jeden z naszej grupy, nazwiska nie znam, pseudonim „Czort”. Wszyscy z mego transportu otrzymali numery od 18 620 do 18 710. Ja miałem numer 18 664. Już na bloku 9 dostaliśmy kawałki białego materiału z wymalowanym czerwonym trójkątem i literą zależną od narodowości oraz numerem, wykonane w kancelarii obozu. Nasz transport otrzymał tylko czerwone trójkąty, u innych więźniów widziałem czarne. Dowiedziałem się, iż numery czarne były przeznaczone do pracy w kamieniołomach. Decyzję o nadaniu więźniowi czarnego numeru wydawały władze obozowe na podstawie opinii gestapo.

Wieczorem drugiego dnia zostaliśmy podzieleni na izby, znalazłem się w grupie izby „B”, wolny od zmory zwierzęcego lwana. W trzecim dniu pobytu stanęliśmy przed tzw. komisją lekarską. W komisji był SS-man lekarz oraz drugi SS-man, których nazwisk nie znam. Porządku pilnował kapo Georg Pril. Po defiladzie nago przed SS-manami zostaliśmy zakwalifikowani do odpowiednich grup według stanu fizycznego. Później okazało się, że mimo przeprowadzonej kwalifikacji wyniszczeni i słabi zostali przydzieleni do ciężkiej pracy. Przez parę dni zatrudniano nas przy pracach porządkowych na bloku. Między innymi kazano nam czyścić piaskiem cynowe talerze specjalnie oblane kwasem, zdaje się solnym. Czyściliśmy na mrozie, gołymi rękami i piaskiem. Po oczyszczeniu pokazywaliśmy talerze sztubowemu, który za niedokładne wykonanie bił.

Bicie było normalnym zwyczajem za najdrobniejsze przewinienie, jak niewłaściwe podanie miski przy wydawaniu brukwi z kotła, wejście na blok w trepach itp. Kolega mój Zagórski został potwornie zбитy przez sztubowego Niemca za wylanie części kotła przy przypadkowym poślizgnięciu się, co przy braku wprawy w chodzeniu w drewnianych trepach było przez dłuższy czas wielką naszą dolegliwością. Po pięciu – sześciu dniach od przyjęcia zostałem przydzielony do kolumny roboczej *Kanalbau* (budowa kanałów), której Schalej – kapo, zawodowy złodziej niemiecki o wielkiej sile jednym uderzeniem pięści zwał z nóg więźnia. Praca moja polegała na noszeniu ciężkich belek lub po trzy deski, względnie na czerpaniu wiadrem brudnej wody z kanału. Wobec osłabienia po długim pobycie w więzieniu i zbyt ciężkiej pracy zacząłem puchnąć, poczynając od nóg aż do piersi, a także twarz i ręce. Piątego dnia mojej pracy w *Kanalbau* nie miałem sił chodzić, będąc zupełnie wyczerpanym i tylko dzięki podtrzymywaniu przez kolegów zdołałem dowlec się po zajęciach do obozu. Kolegom, specjalnie dr. Mianowskiemu, zawdzięczam to, że udało mi się dostać do rewiru, gdzie przy jego staraniach i dożywianiu zacząłem przychodzić do zdrowia. Po wypisaniu z rewiru przydzielono mnie do pracy w *Weberei* – tkalni – i tu pozostałem do końca obozu.

W czasie mego pobytu w Gross-Rosen obóz był już zagospodarowany, bloki mieszkalne i robocze miały światło, wodę, waterklozety, prycze, sienniki, umywalnie itp. Ciężką plagą więźniów było, iż funkcje były przeważnie obsadzone przez więźniów niemieckich: zawodowych przestępców (zielony trójkąt), aspołecznych (czarny trójkąt), względnie homoseksualistów (różowy trójkąt). Polaków na funkcjach było niewielu i ci awansowali przeważnie za donosicielstwo i złe traktowanie współwięźniów. Dzięki temu panował system knypla i pałki. Bito na bloku i w pracy. Z drugiej strony regulamin obozu koncentracyjnego

– przemyślany w szczegółach z niemiecką dokładnością, a stosowany ze zbrodniczą perfidią przez bandytów – miał jeden cel: zniszczenie fizyczne i moralne więźnia. Nędzne odżywianie, ciężka praca w kamieniołomach oraz stałe bicie były powodem bardzo wysokiej śmiertelności, która dochodziła do 90 proc. poszczególnych transportów. Transport z czerwca 1942 roku 500 więźniów z Oświęcimia już w połowie 1944 roku liczył tylko dwadzieścia kilka osób. Z czeskiego transportu 500 więźniów, przywiezionego w 1942, po dwóch latach pozostało przy życiu tylko dwóch. W połowie roku 1944 po osiągnięciu 50 tys. numerów, postanowiono celem zapełnienia wielkich braków numeracji specjalnie do 15 tys. nadawać *zugangom* numery po zmarłych więźniach.

Wszystkie dane liczbowe zaczerpnąłem z rozmów z więźniami zatrudnionymi w kancelarii, spośród których przeżyli Władysław Paniak (adresu nie znam) oraz Tadeusz Mroziewicz (zam. w Bytomiu, ul. Krakowska 44 m. 6).

O wspomnianym wyżej transporcie oświęcimskim mogą udzielić informacji prof. Waksmundzki i Gładysz, autor publikacji *Powrót z piekła*. W połowie roku 1944 Jugosłowianin, więzień sporządzający numery, pokazywał mi listę wolnych numerów po zmarłych więźniach. Z pierwszych 5 tys. więźniów żyjących było [wtedy] nie więcej niż 500, licząc w tym i więźniów niemieckich. W miarę wzrostu numeracji liczba numerów żyjących zwiększała się. Ogółem przy dublowanej numeracji do 50 tys., wydano numerów około 30 tys. Taką też w przybliżeniu należy przyjąć cyfrę zmarłych z 50 tys. więźniów do połowy 1944. Mając te dane, można z dużym przybliżeniem obliczyć ogólną liczbę więźniów, którzy przeszli przez obóz w Gross-Rosen. W lutym 1945 najwyższe [przydzielane] numery to 96 000, przy dodaniu 30 tys. zdublowanych otrzymamy 120 tys. więźniów.

Na terenie obozu odbywały się egzekucje w krematorium transportów przywożonych samochodami, bez numeracji obozowej. Transporty przyjeżdżały z reguły w nocy i były otoczone ścisłą tajemnicą. Na podstawie spostrzeżeń nocnych służb oraz przypuszczeń więźniów rozstrzeliwani i paleni w krematorium byli to więźniowie gestapo we Wrocławiu, Polacy i jeńcy rosyjscy. Tajemnicze transporty przybywały co kilka dni w jednym lub kilku samochodach.

Szczegółowych dat ani ogólnej liczby straconych nie znam.

Opiszę obecnie stosunki obserwowane przeze mnie na rewirze, w bloku 7 oraz tkalni. Kapem rewiru był Georg Pril, zawodowy złodziej mający na sumieniu życie wielu więźniów.

Sam obserwowałem przeprowadzane przez niego przyjmowanie chorych. Wyniszczonych muzułmanów, chorych, bił pałką lub gumą, kopał, znęcał się w nieprawdopodobny sposób, ażeby wyrzucić ich z izby przyjęć i nie przyjąć w stan chorych. W marcu i połowie kwietnia 1944 roku, w czasie mego pobytu na rewirze, dwukrotnie odbyło się tzw. *Sortirung* – wyznaczenie ciężko chorych, wyniszczonych do krematorium i uśmiercanie zastrzykami. Z 2 rewiru wybrano około 40 więźniów, wyboru dokonywał Pril, akceptował SDG SS-man. Chorych zaprowadzono do 3 rewiru, po czym przyszła wiadomość, iż zostali uśmierceni. Następnym razem wybrano z 2 rewiru około 20 ciężko chorych i słabych, przeniesiono ich na rewir 3, skąd zebrani z wszystkich rewirów według wersji oficjalnej mieli wyjechać do innego obozu (bliższe dane o tym obozie może podać ks. Rzymiełka, zam. w Warszawie przy kościele św. Krzyża).

W obozie komór gazowych nie było, wybranych uśmiercano zastrzykami. Starzy więźniowie mówili mi, że przed moim przybyciem *Sortirung* było częste.

Na bloku 7 zapamiętałem następujących więźniów funkcyjnych, odznaczających się specjalnym sadyzmem: sztubowi – Peter Bieńkowski, Niemiec rosyjski i Marian Soja, którzy potrafili zbić więźnia pięściami po twarzy i brzuchu, wymierzyć 25 – 50 uderzeń styliskiem od kilofa lub pałką, a następnie pobitego umieścić pod zimnym tuszem. Po takim maltretowaniu więźniów prawie zawsze umierał. Bieńkowski miał około 28 lat, był średniego wzrostu, bardzo krępy, o twarzy boksera, płaskim nosie, szarych oczach, blond włosach. Marian Soja prawdopodobnie nie żyje. Blokowym był Paweł Morgała, jego pomocnikami byli Mieczysław Bębenek, Roman Pela i Wala. Wszyscy bili więźniów. Bębenek miał lat około 24, był małego wzrostu, o regularnych rysach, rodem ze Śląska. Pela – około 19 lat, małego wzrostu, krępy, blondyn, o regularnych rysach. Wala – około 25 lat, brunet, średniego wzrostu, odznaczający się brakiem przednich zębów.

W tkalni ze starych szmat, ceraty i resztek skórzanych sporządzaliśmy taśmy do karabinów, sanek itp. Warunki higieniczne były potworne, kurz oraz wymagane normy pracy powodowały szybkie zapadanie na zdrowiu, zwłaszcza na gruźlicę. Tkalnia była przewidziana jako komando dla ozdrowieńców, muzułmanów i kalek. Sadyzmem i biciem więźniów odznaczali się kapo Jan Reinhold – około 45 lat, średniego wzrostu, krępy, o rażąco długich rękach, silnie rozwiniętej dolnej szczęce, łusy – i jego zastępca Polak, renegat, Zbigniew Sieradzki rodem z Tarnowa – lat około 24, szatyn, łusy, regularnych rysów, średniego wzrostu, wysportowany. *Vorarbeiter* Hose, Cygan – lat około 28, brunet o kociej twarzy,

średniego wzrostu. Kapo *Schusterein*, a później tkalni Roman Wieschala – lat około 42, średniego wzrostu, blondyn, silnie zbudowany, mający bliznę na twarzy, sztywne palce ręki. W końcowym okresie kapo w tkalni Marian Soja, który specjalnie zrobił sobie żelazny czekan, którym bił więźniów za niewyrobione normy w pracy. Wszyscy wymienieni oprawcy uprawiali homoseksualizm, wykorzystując w tym celu młodocianych więźniów. Czas pracy w tkalni trwał od apelu porannego do wieczornego (także przy świetle), z godziną przerwą na obiad i apel południowy. Hałdy starych butów obok tkalni pochodzące ze śmietników i zbiórek starzyzny w Niemczech były przywiezione na przeróbkę.

W początkowym okresie mojej pracy w tkalni było zatrudnionych około czterystu więźniów pracujących na jedną zmianę. Stopniowo liczba pracujących się zwiększała, tak że w końcu roku 1944 pracowało około tysiąca więźniów na dwie zmiany. Śmiertelność była duża, prawie co dzień umierało kilku więźniów, jednak liczbę podać nie mogę. Ogólnie śmiertelność w obozie wzrosła po wybuchu powstania warszawskiego w sierpniu 1944, kiedy w drodze represji odebrano Polakom prawo otrzymywania paczek od rodzin.

Blok tkalni znajdował się obok krematorium, stąd kilkakrotnie widziałem transporty kilku i kilkudziesięciu więźniów prowadzonych sprzed *Schreibstuby* do krematorium. Słyszałem krzyki konających. Pamiętam, iż w kwietniu 1944 przyprowadzono do krematorium 48 więźniów. Specjalnie wielu uśmiercano z transportów gestapo w Radomiu.

Podaję nazwisko zakładnika z Radomia Tadeusza Grabowskiego uśmierconego w krematorium we wrześniu 1944 roku, w dwa tygodnie po upływie trzymiesięcznego terminu, po którym jak go zapewniło gestapo, miał być zwolniony.

W czasie pobytu w obozie widziałem pięć egzekucji publicznych przez powieszenie, zawsze za napad albo zabicie kapo czy SS-mana.

Szykany i znęcanie się stosowano wobec więźniów złapanych na usiłowaniu ucieczki. Więzień taki – zbity, ubrany w błazeńską koronę z tabliczką na piersiach *Ich bin wieder da*, z werblem, w który uderzał, z towarzyszącą orkiestrą grającą niemiecką dziecinną melodię *Alles Vöglein sind schön da* – defilował przed zebranymi więźniami. Następnie otrzymywał karę chłosty i szedł do karnej kompanii. Pamiętam takie dwa wypadki.

W okresie od września 1944 do połowy stycznia 1945 roku stosunki panujące w obozie lekko się poprawiły w tym sensie, że mniej bito. Natomiast od grudnia 1944, w związku

z ewakuacją zewnętrznych komand do obozu, warunki życia uległy katastrofalnemu pogorszeniu. Niebywałe przeludnienie (35 tys. więźniów), głód (raz dziennie $\frac{3}{4}$ litra zupy i 120 g chleba), oraz kolejna fala zwierzęcego bicia, spowodowały gwałtowny wzrost śmiertelności, zwłaszcza w niewykończonych barakach w nowym obozie mieszczących nowo przybyłych. Kapowie mordowali więźniów, by otrzymać ich głodowe porcje. Przez okna tkalni widziałem zmasakrowane zwłoki wiezione z nowego obozu do krematorium. Dziennie dostarczano 60 – 80 trupów. Krematorium nie było w stanie wszystkich zwłok spalić. Ciała leżały ułożone piętami i według relacji współwięźniów były wywożone samochodami nocą. Wobec zbliżającego się frontu w początkach lutego 1945 rozpoczęła się ewakuacja obozu. Pierwszymi transportami wyjeżdżają lekko chorzy, ozdrowieńcy, w tej liczbie księża (między innymi ksiądz Rzymełka i Szymański). Następne transporty są odsyłane także pieszo. Jeden z nich, liczący 4 tys. więźniów, odszedł pod kierunkiem starszego lagrowego Sistemicha znanego ze znęcania się. Wyjechałem z Gross-Rosen 10 lutego 1945 roku w ostatniej grupie, liczącej około 2,5 tys. więźniów. W obozie pozostali tylko ciężko chorzy na rewirze (w liczbie ponad tysiąca) oraz specjalna grupa około 30 najgorszych bandytów Niemców, w tej liczbie Reinhold i Sieradzki, której zadania pozostały dla nas tajemnicą. Przypuszczalnie mieli być użyci do likwidacji chorych oraz urządzeń samego obozu. Po opuszczeniu obozu załadowano nas po stu – dwustu więźniów do otwartych węglarek, wyposażając na drogę w puszkę konserw oraz dwa bochenki chleba. Transport skierowano przez Striegan, Hirschberg, Drezno do Plauen, gdzie pociąg rozdzielono na dwie części. Tę, w której się znalazłem, zawieziono do Leitmaritz (Litomierzyce). Droga trwała dwa dni i trzy noce, ostatniej nocy panowała śnieżyca. W jednym z sąsiednich wagonów według relacji kolegów jadących nim, kapo Maks Weiss (wysoki, szczupły, łysy, mający wgłębienie w kości czołowej) własnoręcznie nożem zamordował około 40 więźniów, wyrzucając zwłoki z wagonu, by uzyskać więcej miejsca dla siebie i swoich kolegów. Po przybyciu na dworzec w Litomierzycach więźniów, którzy nie byli w stanie iść o własnych siłach, SS-mani mordowali, strzelając w głowę. Grupę więźniów z ostatniego wagonu pozostawiono dla uprzątnięcia zwłok. Z grupy tej Teodorowicz (adresu obecnego nie znam) obliczył, iż sprzątnięto około stu zwłok.

W drodze ze stacji kolejowej Litomierzyce do obozu SS-mani zastrzelili kilkunastu więźniów niemogących iść.

9 maja 1945 roku zostałem zwolniony z obozu w Litomierzycach przez SS-manów wobec zakończenia wojny i zbliżających się wojsk radzieckich.



O stosunkach obozowych w Litomierzycach mogą zeznać: Zbigniew Tomaszewski (zam. w Warszawie, ul. Styki 10), inżynier Malik (zam. w Katowicach), dr Sztaba (zam. w Sosnowcu).

Odczytano.